

Duszyński Tomasz

Pietia i Witia – MRÓZ

Z „Fahrenheit”

– Ciepłutko tu, kurza twarz! – Pietia położył nogi na pufie i rozsiadł się wygodniej w fotelu.

– Dawno tak nie było! – potwierdził Witia.

Było mu przyjemnie jak nigdy. Przemoczone kufajki schły na elektrycznym piecyku w przedpokoju. Gumofilce stały przy kominku, a po pokoju roznosił się zapach lasu, igieł i palących się szczap.

– Toć pomyśleć, że mało brakowało a jak Eskimosy na śniegu byśmy spali – Potiomkin przegryzał świąteczny sernik. Na dłoniach dalej miał dziurawe rękawiczki, widać nie zdjął ich z przyzwyczajenia.

– Igloo w trymiga byśmy zrobili. Już nie narzekaj, że ci tak źle – obruszył się Wasilijewicz.

Nie lubił się skarżyć na los. Ludziom gorzej bywało na tym świecie. W końcu nie bez powodu ruszyli w drogę. Na wezwania pomocy odpowiadali natychmiast. Zawsze było coś do roboty. Nawet tutaj, w Mikołajowicach.

– A myślisz ty, że... – Pietia zaczął z pełną gębą. Zatkanął się widać serem, bo zamilkł.

– Że co? – zniecierpliwiał się Witia.

– No, że... – Potiomkin popił kompotem z suszonych śliwek i popchnął to, co mu stanęło w gardle. – Że to tak wypada?

– A czym tu się przejmować? – Wasilijewicz zdążył już przemyśleć całą sprawę. – Kazali złapać to złapiemy! Robota jak każda inna!

– No niby tak... – w głosie Potiomkina można było wyczuć wahanie. – Ale to raczej sprawa milicji, albo co?

Witia w normalnych warunkach pewnie by się z Pietią i zgodził. Zajmowali się sprawami nadprzyrodzonymi, którym zwykły śmiertelnik nie poradziłby. Ale tutaj przypadek był raczej kryminalny. Zawieja za oknem kazała mu jednak wyzbyć się skrupułów. Uznał, że darowanemu koniowi w zęby się nie zagłęda i jak pomóc trzeba, to trzeba. Zwłaszcza, że u Sołtysa w chałupie było ciepło, a i spać, i jeść dawali.

– Trochu dziwne to wszystko – Potiomkin jak zwykle nie potrafił choć przez kilka minut nie przejmować się problemami tego świata. – Mówią, że kradnie po chałupach cały rok, a go złapać nie mogą. To co on, niewidzialny jaki?

Wasilijewicz zastanowił się nad słowami Pietii. Przyjaciel miał trochę racji. Tłumaczenia Sołtysa, gdy ich rano jadąc z wojewódzkiego miasta złapał w drodze, były bardzo zdawkowe. Witia przemarznięty był wtedy do szpiku kości i słuchał tylko jednym, zamrożonym uchem. Docierały do niego niektóre słowa, przepuszczane przez wolno pracujący mózg, jak: nocleg, jedzenie i picie.

Teraz, gdy nieco odtają i on zaczął myśleć. W ciemni bity nie był. Kilka rzeczy nie pasowało do tej układanki. Wycofać się jednak nie wypadało. Należało raczej czekać na rozwój wypadków. A nuż wyjdzie, że pół zimy spędzą na darmowym wikcie i opierunku, rozwiązując sprawę, która rozwiązania nie miała.

– Co tam jeszcze zostało? – Witia zerknął na stół.

Gospodarz nie sprzątnął zastawy. Pietia mu nie pozwolił. Tłumaczył, że to najlepsza pułapka na głodnego złodzieja. Na białym obrusie leżały więc półmiski z niedojedzonymi potrawami, dzban kompotu i waza pełna barszczu z uszkami.

– Może rybkę? – Pietia wyciągnął szyję. Próbował dojrzeć coś z miejsca, w którym siedział.

– A spełni moje trzy życzenia? – zapytał Witia.

– Raczej już nieruchawa. Za dużo z nią nie pogadasz – Potiomkin ucieszył się z własnego żartu.

Wasilijewicz przewrócił oczami, z wyrazem głębokiej dezaprobaty dla przyjaciela na twarzy. Wstał z fotela i podszedł do kominka. Przez chwilę obserwował polana płonące żywym ogniem. Odruchowo wyciągnął dłonie do ciepła. Potem przeciągnął się i ziewnął.

– Wiesz Pietia? – zaczął po chwili. – Zaczynam tęsknić za jakimś stałym miejscem. Za swoją chałupą, prywatnym obejściem i miedzą. Może się już starzeję?

– Eee, tam. Te święta tak na człowieka wpływają. Rozkleja się jak ciasto na widok farszu. Przejdzie, gdy tylko znowu w drogę ruszymy.

– Pewnie masz rację – Witia zastanowił się nad słowami sąsiada. Rzeczywiście było niemal pewne, że długo w jednym miejscu żaden z nich by nie usiedział. Ciągnęło ich w świat, w przygodę. Za dużo rzeczy widzieli, które filozofom się nawet nie śniły, by teraz w gnuśność popaść i beczynnie w chałupie siedzieć.

– No pewnie, że rację mam – Potiomkin skupiony był na jedzeniu. Wyciągał ości z tłustego kawałka pieczonego karpia.

Wasilijewicz odsunął firanę i zajął za okno, w ciemną noc. Chciał zobaczyć, czy dalej za oknem zawieja i czy aby nie wypadnie im jutro z samego rana ruszyć w dalszą drogę. Na chwilę znieruchomiał, a potem błyskawicznie odskoczył od szyby.

– Mróz idzie! – szepnął z przejęciem.

– Mróz? – Potiomkin nie przejął się zbytnio słowami przyjaciela. Interesowało go bardziej to, co miał na talerzu. – Jeszcze zimniej na dworze? Toć już było minus dwadzieścia!

– Nie mróz... MRÓZ! – Witia z wysiłkiem łapał w płuca powietrze.

– Nie rozumiem – Pietia nagle się zainteresował. Przestał nawet przeżuwać jedzenie.

– Dziadek MRÓZ! Idzie tu! Właśnie tera!

– Tera? Tu? Idzie? Właśnie? Mróz? – Potiomkin składał wyrazy bardzo powoli. Musiały docierać do jego mózgu z opóźnieniem, co najmniej kilkusekundowym.

– Chować się! – krzyknął Witia i nie zważając na nic, dał susa nad dywanem. Przeleciał koło Pietii i przykleił się do ściany za choinką.

Drzewkiem zatrzęsło. Nawet jedna z bombek upadła na podłogę. Przyniosło to jednak skutek, bo Witii pośród zielonych igieł widać nie było.

Tymczasem Potiomkin siedział jak skamieniały. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w przestrzeń. Przez chwilę był pewien, że Witia robi z niego wariata. Już nie raz tak bywało, że wystawiał go na pośmiewisko przy byle sposobności.

W tej właśnie chwili do Pietii doszedł przytłumiony dźwięk. Przypominał odgłos szorowania rury ryżową szczotką. Potiomkin zdążył zorientować się, że dobiega od strony kominka. Ogień jakby przygasł. Coś widać zatkało przewód kominowy, blokując ciąg. Chyba to sprawiło, że Pietia oprzytomniał. Zerwał się na nogi, rozglądając panicznie na boki. Podreptał chwilę w miejscu, bo nie przychodziło mu do głowy, gdzie się schować, a potem zanurkował pod stół, zasłaniając się długim obrusem. Zdążył w sam raz, tuż przed podmuchem, który wzniósł kłęb sadzy i ogromnym hukiem, który wstrząsnął salonem.

– Kurza twarz! Bałwany jedne! – ktoś zaklął szpetnie i stęknął. – Co ja mówiłem? Żeby ognia nie palić, gdy pracuję!

Pietia siedział jak trusia pod stołem. Bał się nawet głośniej odetchnąć. Uznał, że jak trzeba będzie zdecydować się na interwencję, to Witia da jakiś sygnał. Teraz lepiej się nie wychylać. Ciekawość jednak okazała się silniejsza. Odgłosy, jakie wydobywał z siebie nieproszony gość, sprawiły, że Potiomkin uniósł lekko rąbek obrusa i wyjrzał.

Chudy, osmolony jegomość podskakiwał na jednej nodze, próbując ugasić palące mu się na siedzeniu portki. Widać nie radził sobie zbyt dobrze, bo jego nieskoordynowane ruchy raczej podniecały ogień.

– Ja cie krence! – człowieczek zaczynał już krzyczeć. Próbował się obrócić i rękami stłumić pożar. – Spłonę, mamciu, spłonę!

W tej chwili ogień przeskoczył mu na brodę, która zajęła się jak sucha słoma. Teraz intruz wrzeszczał już wniebogłosy.

Pietia nie wytrzymał pierwszy. Wskoczył spod stołu i chwycił wazę z barszczem. Podbiegł do palącego się jegomościa i chlusnął mu całą zawartością w twarz. Ten aż przysiadł na podłodze z wrażenia. Przy okazji, w ten sposób, stłumił płomień na siedzeniu.

– Mniam! – powiedział po chwili, jakby zupełnie nic się nie stało. Miał coś w gębie, potrząsając na boki tłącą się brodą. – Jakie uszka! Babcia takie robiła. Mniam.

W tym momencie obok Potiomkina pojawił się Witia. Próbował wcześniej ruszyć z pomocą, ale zaplątał się w kolorowy łańcuch z choinki. Na swoje usprawiedliwienie miał tylko to, że wciąż jedna z bombek zwisała mu przy uchu.

– Kto to?! – sapnął. Patrzył z rosnącym zdumieniem na siedzącą na ziemi pokrakę.

– A ci ja wiem? – Pietia podrapał się za uchem. Nie miał pojęcia, kim jest intruz. Na Dziadka Mroza nie wyglądał. Chudy był jak szczapa, osmolony i najwyraźniej nieco przygłupi. – Toć pewnie ten złodziej, któregośmy mieli przepędzić.

– Złodziej?

Do tej pory intruz nie zwracał na nich uwagi. Teraz nie tyle się zainteresował, co najwyraźniej oburzył:

– Wypraszam sobie takowe insynuacje! Mikołaj jestem – ukłonił się grzecznie.

Pietia i Witia ryknęli śmiechem. Mikołaj w tym czasie wstał, wytarł dłoń w swój płaszcz i wyciągnął ją w stronę przyjaciół. Ci zignorowali gest. Witia wskazał domniemanemu Mikołajowi fotel i władczym tonem powiedział:

– Siadać! Odzywać się, gdy zapytamy i nie wykonywać gwałtownych ruchów!

Mężczyzna momentalnie wykonał polecenie. Siedział wystraszony i próbował się uśmiechać to do Pietii, to do Witii. Obaj jednak nawet nie zwrócili na to uwagi.

Potiomkin ustawił przed Mikołajem dwa krzesła. Wasilijewicz w tym czasie przymocował do stołu przygotowaną wcześniej lampkę. Zapalił ją i skierował światło prosto w twarz intruza. Człowieczek zmrzył oczy. Podniósł dłoń do czoła próbując je osłonić.

– Żadnych gwałtownych ruchów! – ostrzegł go ponownie Witia i zajął miejsce naprzeciw. – Kim jesteś?!

Człowieczek poczuł się jakby na pewniejszym gruncie. Odetchnął głęboko i odpowiedział:

– Święty Mikołaj. Miło mi panowie... Przyjaciele wołają na mnie Miki.

– Kłamca! – nie wytrzymał Pietia. – Kłamiesz jak z nut. Nie ma Świętego Mikołaja, ino Dziadek Mróz jest prawdziwy! – Potiomkin spojrzał na Wasilijewicza szukając u niego poparcia.

– A! – uśmiechnął się Mikołaj. – U Ruskich też za Mroza robię, tuż za granicą, za rzeką – zwierzył się.

– Bo cię zdiele – Pietia poczerwieniał na twarzy.

– Ruskie to masz pierogi, bałwanie – Witia także nie ukrywał oburzenia.

– A wypraszam sobie bałwana – oburzył się tym razem Mikołaj.

– Delikatny, może z powołaniem tyś się minął, lepiej Śnieżynką było zostać? – Pietia zarechotał głośno.

– Kto delikatny, ten delikatny, nie ja za Ruskich się obraził – zauważył intruz. Popatrzył buńczucznie na siedzących przed nim obdartusów.

– Bo cię zdiele – Pietia poczerwieniał.

– Ruskie to masz pierogi bałwanie – witia także dodał swoje.

Mikołaj zaniemówił przez chwilę.

– Chyba mam te, deża vu – podrapał się we wciąż tłącą brodę.

– To już przesadziłeś – Pietia szykował się do bicia.

Witia powstrzymał go ruchem ręki. Już dawno wybaczył przyjacielowi głupotę. Sam słyszał o deża vu i był na tyle mądry by wiedzieć, że ze wschodnimi sztukami walki nie ma żartów.

– Jak udowodnisz, że prawdę mówisz? – zapytał. – Przecie ani prezentów nie masz, ani czerwonego uniformu. Kraść się po prostu przyszło. Tak?

Człowieczek, podający się za Świętego Mikołaja, zasepił się. Opuścił głowę i wpatrzył w swoje dziurawe buty.

– Ano, tak już jest – odezwał się w końcu. – Służbowy strój noszę od kilku lat – wskazał na osmolony płaszcz i spodnie. – Urząd powiatowy nie chce wydać nowego, bo podobno cięcia w budżecie przyszły. Co dopiero o prezentach mówić.

– A czemu kradniesz? – zapytał Pietia.

Witia zmarszczył brwi. Słuchał jednak uważnie.

– Pewnie i rację macie – ciągnął Mikołaj. – Czasem i coś z chałup zabiorę. Wszystko jednak na te moje renifery idzie. Dwa już zeszłej zimy zdechły z głodu! Zwłaszcza Rudolfa szkoda. Teraz sam o pozostałe dbam. A codziennie jestem w innej chałupie. Zabieram tyle, żeby domownikom nie zabrakło...

– Może prawdę gada? – Potiomkin zwrócił się cicho do Witii. – Chudy nieborak taki, sam widać niedojada.

– A, to też problem – Mikołaj widać usłyszał, co mówił Pietia. – Raz nawet komisję zrobili. Boć limit osiemdziesięciu kilo jest na Mikołaja. Musiałem wypchać brzuszysko styropianem i odważnikami z warzywniaka, żeby pracy nie stracić.

– To nie lepiej ją rzucić w cholere? – zastanowił się głośno Wasilijewicz.

– Nie tak prosto zrobić. Człowiek jak się przyzwyczai... Mówią, że to powołanie. Czasem tę swoją marną państwową pensyjkę oddam na prezenty dla dzieci. Człowiekowi się lekko na duszy robi, gdy spojrzy na bużki uśmiechnięte...

Wasilijewicz przestał słuchać Mikołaja. Zamyślił się. Coś tu było nie tak. Zeznania Mikołaja, z wersją Sołtysa nie pokrywały się zupełnie. Któryś z nich kłamał w żywe oczy. Tylko który i dlaczego?

– Nie da się żyć inaczej? Przecież włamywać się do domów nie musisz. Robisz to po kryjomu, ludzie się skarżą. Myślą, że jakowaś szajka po wsiach grasuje.

– Szajka? – zdziwił się Mikołaj. – Przecież oni wszyscy wiedzą, że nocami do chałup wchodzę. Kto wam takich bzdur naopowiadał?

– No, Sołtys! – wyrwał się z odpowiedzią Pietia.

– Sołtys?! – wykrzyknął Mikołaj. – Toć to on kazał mi tak robić. Gadał, że pieniędzy dla mnie nie ma, a ludzie się zgodzą cały rok dożywiać. Tylko żebym po cichu to robił.

Pietia spojrzął na Witie, nie rozumiejąc o co chodzi.

– Niewdzięczni! – w oczach Mikołaja pojawiły się łzy. – Gdy bieda była, sam prezenty im rozwoziłem, cały rok pomagałem. Na mój koszt, jedli i pili...

Na Wasilijewicza wtedy właśnie spadło olśnienie. Pobudki działania Sołtysa nie były mu wcześniej do końca znane. Urzędnik zlecając im zadanie, trzymał wszystko w wielkiej tajemnicy, starając się wyjawiać jak najmniej szczegółów.

Niechybnie, pomyślał Witia, wydawało się Sołtysowi, że wynajmie dwóch chłystków, żeby nastraszyli i przepędzili Mikołaja, gdzie pieprz rośnie. W ten sposób zamierzał pozbyć się ze wsi wstydlivego problemu. Wiele przemawiało za tą teorią. Gdy wchodzili do wioski, Witia zobaczył, że innym żyło się tu dobrze. Szczególnie dobrze Sołtysowi! Świadczył o tym lśniący nowością traktor, który widzieli z rana, ganek świeżo wyremontowany i obejście. W chałupie też od przepychu aż powietrze gęstniało. Tylko jedno pytanie nurtowało teraz Wasilijewicza. Skoro, jak przypuszczał, Sołtys przywłaszczył sobie całoroczny budżet przeznaczony na Mikołaja i uchodziło mu to płazem, dlaczego chciał się go pozbyć?

Z samego rana Witia przebudził się na fotelu. Rozejrzył się wokół siebie. Pietia spał na futrze przy kominku, obok Mikołaja. Wasilijewicz myślał bardzo długo o tym, co wydarzyło się w nocy i próbował drogą dedukcji połączyć wszystkie informacje tak, by sprawa została jak najszybciej rozwiązana. Nie było to łatwe. Wątki mieszały się ze sobą złośliwie, zupełnie jakby ktoś miał w tym swój utajony cel. Dopiero teraz zaświtało w głowie Wasilijewicza coś, co z całą pewnością należało sprawdzić.

Witia obudził Pietię i kazał mu biec po Sołtysa z informacją, że przestępca został złapany na gorącym uczynku i przepędzony na cztery syberyjskie wiatry.

Potiomkin zrobił jak mu polecono i zniknął za drzwiami. Tymczasem Witia wziął się za rozbudzanie Mikołaja. Musiał wtajemniczyć go w swój plan. Nie było to jednak proste. Chudzielec przetarł oczy, ziewnął i dopiero po dłuższych namowach zaczął słuchać uważnie. Gdy Wasilijewicz mówił, Mikołaj kiwał głową ze zdziwieniem i w końcu, zastosował się do poleceń. Dostyc zresztą prostych. Po prostu schował się za okienną zasłoną.

Dziesięć minut później Witia usłyszał w sieni odgłosy strzepywania śniegu z butów i podniecony głos Sołtysa. Nie minęła chwila, gdy urzędnik pojawił się w drzwiach. Uśmiechał się szeroko ze szczęścia.

– Wiedziałem od razu jakem was ujrzał, że chojraki z was nie lada – zagadał. – Toć poszło wam jak z płatka. Nawet nie wiecie jakieście uczynili dobro wioskowym. Wreszcie będą po nocach spać spokojnie!

– Niech Sołtys usiądzie – Witia uśmiechnął się tajemniczo i wskazał przygotowany wcześniej fotel.

– A pewnie, pewnie – Sołtys nie krył radości i skorzystał z zaproszenia. – O rozliczeniu pogadać chciecie. Rozumiem to.

Wasilijewicz czekał aż tęgi jegomość usiądzie. Obserwował go uważnie, chcąc upewnić się w swoich przypuszczeniach. Potem dał znać stojącemu za zasłoną Mikołajowi, żeby wyszedł z ukrycia.

– Co do diaska?! – Sołtys wykrzywił twarz w grymasie zaskoczenia. – Co wy robicie! Czyście oszaleli?

– Kto szalony, sprawdzimy jeszcze! – odpowiedział spokojnie Witia. – Radzę nie ruszać się z fotela, dopóki sprawa wyjaśniona nie będzie.

– Ze złodziejem w spółkę weszliście? – Sołtys zaperzył się jeszcze bardziej, ale o groźbie pamiętał. – Mogłem domyśleć się, że tak będzie!

Zacisnął dłonie w pięści i potrząsał nimi grożąc na przemian to Pietii, to Witii.

– Spokojnie Sołtys, spokojnie – Wasilijewicz podsunął sobie pod siedzenie zydel i usiadł naprzeciw urzędnika. – Wyjaśnimy wszystko i sprawiedliwości stanie się zadość.

Pietia z Mikołajem ustawili się za plecami a)itii, czekając na rozwój wypadków. Potiomkin nie wiedział jaki plan obmyślił przyjacieli. Nie przejmował się jednak tym zbyt. Przyzwyczajony był, że gdy zostawić wolną rękę Wasilijewiczowi, wszystko układa się zgodnie z oczekiwaniami.

– Od kiedy urząd piastujecie? – Witia zadał pytanie. Mówił bardzo wyraźnie i dobitnie.

– Już ci rok będzie! – Sołtys dalej nie potrafił opanować wzburzenia.

Wasilijewicz pokiwał głową w zamyśleniu. Jakby rozważał każde słowo osobno. Odezwał się dopiero po chwili, tym razem do Mikołaja.

– A od kiedy wasze kłopoty trwają?

– No równo rok, od gwiazdki ostatniej! – chudy jegomość odpowiedział drżącym głosem. – Wtedy to i renifery padły i po asystentce mojej słuch zaginął.

– Asystentce? – Potiomkin zdziwił się, bo wcześniej nic o tym nie słyszał.

Wasilijewicz także podniósł brwi na te słowa i zamruczał coś pod nosem, co przypominać mogło "taaa".

– Kim asystentka była? – zapytał Mikołaja.

– No, Śnieżynka! Skończyła po ogólniaku kurs księgowości, prezenty mi liczyła, funduszami obracała, zależny niemal byłem od niej, jak krowa od trawy! – z oczu Mikołaja popłynęły dwie, duże jak groch, łzy.

– Niech mi tu nie chlipie, nierób jeden! – nie wytrzymał Sołtys. Zaraz jednak zamilkł pod morderczym spojrzeniem Potiomkina.

– I jak to... zaginęła? – wypytywał dalej Witia.

– No nagle, nie z tego ni z owego się rozplynęła. Myśleliśmy, że porwana, ale Sołtys powiedział, że uciekła z całym wioskowym budżetem, bo złodziejką była. Wierzyć nie chciałem, ale dowodów dostarczono tyle, że nie śmiałem już wątpić.

Witia zasepił się. Sprawa komplikowała się bardziej, niż mu się z początku wydawało.

– A może...?! – Witia specjalnie zwiesił głos, żeby podnieść napięcie. – To nie Śnieżynka ukradła pieniądze?! Może stała się niewinną ofiarą intrygi chciwego urzędnika!

Sołtys podskoczył niemal na fotelu.

– To insynuacje! – zapiszczał bardzo wysokim tonem. Zaraz jednak odchrząknął, co nie uszło uwadze Wasilijewicza. – Do sądu podam oszczerców!

Witia zmrużył oczy i przypatrzył się uważniej Sołtysowi. Pochylił się nawet bardziej do przodu, obserwując twarz urzędnika. Coś nie dawało mu spokoju.

– To on jest złodziejem! – Sołtys zdawał się nie zauważać zachowania Witii. Wskazywał wyciągniętym palcem na Mikołaja. – Jego trzeba aresztować!

– Coś się panu odkleiło – szepnął Wasilijewicz.

– Nie rozumiem? – urzędnik zaskrzeczał. Otworzył szeroko oczy z zaskoczenia.

– Coś się odkleiło – powtórzył Witia, wskazując dyskretnie palcem na podbródek Sołtysa.

– A, dziękuję! – odpowiedział urzędnik, poprawiając odstający płat skóry. – Na czym to ja skończyłem?

– Na areszcie – usłużnie przypomniał Potiomkin.

Przez chwilę zapanowała cisza. Dostyc niezręczna. Można byłoby nawet powiedzieć, że ani Pietia, ani Witia nie słyszeli takiej ciszy od dobrych kilku lat.

– Chyba się wydało? – nieśmiało upewnił się Sołtys.

– Chyba tak – potwierdził grzecznie Wasilijewicz.

– Niech was! – ryknął urzędnik. Wstał i zamachał rękami. – Niech was piekło pochłonie! – krzyczał głosem przechodzącym w coraz wyższą tonację.

W tej samej chwili sięgnął dłonią do twarzy i zerwał z niej gumową maskę. Oczom Pietii, Witii i Mikołaja ukazała się kobieca twarz. Wasilijewicz był pewien, że należy do zagubionej Śnieżynki.

– Mamy złodzieja i oszusta! – Potiomkin zatarł ręce z radości. Zastanawiał się, jaka nagroda zostanie im przyznana za rozwiązanie sprawy. Odwrócił się do Mikołaja chcąc złożyć mu gratulacje.

Ten stał przy kominku. Nie wyglądał na uszczęśliwionego takim obrotem sprawy. Wykrzywił wręcz twarz w grymasie niezadowolenia.

– Nie ruszać się panowie! – powiedział. – Bo marnie skończycie.

Witia nie miał najmniejszego zamiaru słuchać groźby. Jednym susem znalazł się przy Mikołaju. Chwyił go za nos i pociągnął. Lepka materia odkleiła się z głośnym młaśnięciem. Oczom Potiomkina i Wasilijewicza ukazała się rzecz przerażająca, tak przerażająca, że wprawiła ich w osłupienie.

– Rudolf? – zapiszczał Potiomkin.

– Tak to ja! – krzyknął renifer. Z trudem wyprostował poroże, które miał ukryte pod peruczką.

Wasilijewicz popatrzył na Pietię. Ten podnosił właśnie dłoń do twarzy. Witia przypomniał sobie wtedy, że zaginął także drugi renifer. Już miał pewność, że Potiomkin lada moment ściągnie maskę ze swojej twarzy. Przyjaciel jednak na szczęście zakrył tylko dłonią usta, otwarte z przerażenia. Wasilijewicz odetchnął z ulgą. Musiał jednak działać, by ująć z życiem z tego zamieszania.

– Rudolf! – krzyknął do renifera i wskazał na kominek za jego plecami. – Patrz! To twój drugi przyjaciel! Walentino!

Śnieżynka i renifer podskoczyli ze strachu. Tych kilka sekund wystarczyło przyjaciołom na ucieczkę. Rzucili się do drzwi, nie przejmując się ich otwieraniem. Wyważyli je i wyskoczyli do sieni, a potem na podwórko. Biegli przed siebie, co sił w nogach. W końcu nic tu po nich. Sprawa rozwiązała się sama.

Było zimniej niż poprzedniego dnia. Temperatura spadła do blisko minus trzydziestu stopni. Pietia i Witia nie czuli jednak mrozu. Zmierzali w iście ekspresowym tempie do następnej wioski, po raz pierwszy w życiu ciesząc się, że święta tak szybko mijają.

Strzelin, grudzień 2002 – styczeń 2003